Nr. 128. Lwów — Środa dnia 5 Czerwca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Dziś: Such. św. Florencyi Symeona prep.
Jutro: św. Norberta Obr. hol. ś. Joana

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 8
Zachód „ „ 7 „ 48

Długość dnia g. 15 m. 40
Przybyło dnia od wczoraj m. 1

Przegląd polityczny.

Lwów 4 czerwca.

Zaraz po nominacyi hr. Gołuchowskiego rosyjskie dzienniki wypowiedziały o nim swe zdanie, przeważnie nieżyczliwe, bałamutne, nieoparte nawet na pobieżnej znajomości osoby i stosunków — i umilkły. Spodziewaliśmy się od nich gorszego, zwłaszcza od dzienników, których zadaniem zohydzanie nawet imienia polskiego, więc tą ich względną wstrzemięźliwością byliśmy przyjemnie zdziwieni. Można się było obawiać, że jeśli zaczną się napaści szowinistycznej prasy rosyjskiej na hrabiego Gołuchowskiego, jako na Polaka, to podrażnione tem nasze dzienniki wystąpią z krewkiemi odpowiedziami, nietyle przekonywającemi, ile ostremi — i wywiąże się polemika, w której niewłaściwa w tym wypadku kwestya narodowości stanie na pierwszem miejscu i przezto nowy austro-węgierski minister znajdzie się najniewinniej w przykrem i szkodliwem dla swego urzędu położeniu. W polemicznym zapale mogłyby nasze dzienniki zapomnieć o tem, co już bez wyjątku wszystkie i bardzo trafnie oświadczyły, że austro-węgierski minister spraw zagranicznych nie może i nie powinien prowadzić polityki wyłącznie zalitawskiej, albo wyłącznie przedlitawskiej, — węgierskiej czy kroackiej, polskiej, niemieckiej, czy czeskiej, lecz musi być i z pewnością będzie tylko wiernym rzecznikiem interesów całej monarchii, tylko dokładnym wykonawcą woli Cesarza. Takie zapomnienie byłoby naturalnie wyzyskane przez rosyjską i berlińską prasy, roztrąbione szeroko, podniesione do znaczenia dogmatu polskiego, hr. Gołuchowski znalazłby się w atmosferze niewłaściwej na jego stanowisku, a dla nas miałoby to skutek taki, że na pewne posterunki jużby nigdy nie powoływano dostojników z naszego społeczeństwa. Taki skutek wyciągnięcia polskich dzienników na szowinistyczną polemikę jest tak ponętny dla naszych najserdeczniejszych ze wschodu i zachodu, że byliśmy zdumieni tem, iż oni nie postarali się jej wywołać drażniącemi zaczepkami. Dziś widzimy, że ci najserdeczniejsi tylko się namyślali, bo właśnie rozpoczęli podjazdową wojnę. Możemy pominąć małą pukaninę, odzywającą się z różnych berlińskich i petersburskich gazet, bo mamy działowy ponisk, z którego o całej intrydze można sądzić. *Moskiewskie Wiedomości*, które z wielką czcią przechowują tradycye Katkowa, wystąpiły najpierw z korespondencyami z Wiednia i Lwowa, przedstawiającemi hr. Gołuchowskiego jako „zajadłego“ szowinistę, a następnie z opartym na nich artykułem wstępnym pod tytułem: „Trzeba się mieć na ostrożności!“ Ze streszczenia tego artykułu, które niżej podamy, przekonają się czytelnicy, że ów wykrzyknik moskiewskiego pisma możemy zwrócić do naszej publicystyki: miejmy się na baczności i nie idźmy do lasu polemiki, w który chce nas wciągnąć szowinistyczny wilk *Moskiewskich Wiedomości*.

Podaliśmy przed paru dniami w kronice, jako humorystyczno-zjadliwe curiosum, zmyślenia wiedeńskiego korespondenta tego pisma. Rzućmy teraz okiem na jego lwowską korespondencyę jakiegoś Glinczaka. Prawi ten bajarz, że jakieś „płytkie tromtadrackie dzienniczki polskie, nibyto demokratyczne, ale w gruncie rzeczy oddane rozpaczliwemu patryotyzmowi, który żyje marzeniem o Polsce od morza do morza“, nadzwyczajnie uradowały się nominacyą hr. Gołuchowskiego, a to dlatego, że „jest on takim samym rodowitym Polakiem, jak inni dwaj ministrowie spraw zagranicznych: Czartoryski za czasów Aleksandra I, i Walewski za czasów Napoleona III.“ Jak ci dwaj „genialnie służyli nie tym monarchom, ale odbudowaniu Polski“, tak hr. Gołuchowski, trzeci Polak na urzędzie ministra spraw zagranicznych, mając silne poparcie Koła polskiego, z „łatwością pójdzie w ślady Czartoryskiego i Walewskiego“. Zdaniem tego korespondenta, „krakowscy stańczycy, przerażeni zapałem szowinistycznym, wywołanym nominacyą Gołuchowskiego, pośpieszyli oświadczyć w *Czasie*, iż minister spraw zagranicznych w Austro-Węgrzech może prowadzić tylko austryacką politykę“. Ale to — mówi dalej korespondent — „nieprawda, bo oto *Przegląd* wyraził rzeczywisty pogląd polityków polskich, krytykując hr. Kalnoky'ego i zaliczając mu do błędów nieprzebaczalnych to, że niezmiennie starał się utrzymać dobre stosunki Austryi z Rosyą, a ilekroć one psuły się, zaraz wytężał wszystkie usiłowania, aby je naprawić“. Po tych słowach, wziętych jakoby z *Przeglądu*, korespondent pisze: „Dziennik ten w końcu powiada, że utrzymać pokój europejski jest niewątpliwie wielką zasługą, lecz jeszcze większą — utrzymać pokój wewnętrzny między połowicami monarchii“. Otóż te ostatnie słowa rzeczywiście znajdowały się na końcu naszego artykułu p. t. „Kwestye zasadnicze“ (Nr. 117 z dnia 21 maja). Prosimy tedy czytelników zajrzeć do tego artykułu i przekonać się, że myśmy w nim nie wytykali Kalnoky'emu żadnych nieprzebaczalnych błędów w stosunkach z Rosyą i że w ogóle o Rosyi nie ma ani słowa w tym artykule, oprócz podanego wyżej końcowego zdania.

Otóż na podstawie tak rzetelnych korespondencyi piszą *Mosk. Wied* w swym artykule pod tytułem „Trzeba się mieć na ostrożności“, że „ojciec Gołuchowskiego był filarem zajadłych polskich patryotów, a syn oczywiście idzie w jego ślady, bo naprzykład był ledwo nie jednym z inicyatorów przeszłorocznej polskiej, albo mówiąc trafniej, antyrosyjskiej wystawy we Lwowie.“ Potem autor artykułu zwraca uwagę na to, że „sami Polacy obawiają się zawielkiej gorliwości Gołuchowskiego, która może zaszkodzić polskiej sprawie“ — i dalej tak rozumuje:

„Musimy powiedzieć, że nominacya hr. Gołuchowskiego obowiązuje Rosyę do największej ostrożności w jej stosunkach z Austryą. Bardzo być może, że hrabia złoży na ołtarzu interesów monarchii swoje ojczyste polskie interesy, albo usunie je na daleki plan; tak zdaje się, być powinno, gdyż austro-węgierski premier powinien w sprawach zagranicznych pamiętać, iż jest przedewszystkiem poddanym Cesarza austryackiego, powołanym do strzeżenia interesów całej obszernej monarchii, a nie którejkolwiek jednej jej części; wszelako może się stać odwrotnie i właśnie dlatego Rosya jest obowiązana do wyjątkowej oględności i ostrożności. Oprócz tego konieczna jest także surowa konsekwencya w działalności i środkach zapobiegawczych naszego rządu w tej części naszej ojczyzny, gdyż owa polszczyzna — przypuśćmy, że znacznie już przetrzebiona,— zawsze jeszcze pielęgnuje niemożliwe, niemniej jednak niebezpieczne dla niej samej marzenia. Mówimy o kraju Nadwiślańskim. Twarde i systematyczne środki rządowe w tym kraju przyniosą pożytek przedewszystkiem samym Polakom, bo wykorzenią z ich życia ten żywioł frondy, który przeszkadza prawidłowemu biegowi spraw. Polacy przenikną się szacunkiem dla rządzącej nimi siły, dla rosyjskiego imienia i narodu, jeśli obaczą, że rząd surowo i bez zboczeń troszczy się o wszechrosyjskie interesa, dążąc do ostatecznego celu, którym jest zlanie wszystkich części naszej olbrzymiej ojczyzny w jedną niepodzielną i jednolitą całość. Taki kierunek pewniej od wszelkich innych doprowadzi do ostatecznego pogodzenia dwóch narodów, będących w gruncie rzeczy bratnimi. Teraz, w obec ostatnich wypadków, zbaczać od tego kierunku niebezpieczniej, niż kiedykolwiek przedtem; teraz nie czas popuszczać wodzów. Nie mówimy, aby je jeszcze bardziej naciągnąć, ale nie radzimy ich zwalniać: niech one będą napięte zawsze jednostajnie w twardej ręce oględnego zarządzcy, jakim — o ile wiemy — okazał się hr. Szuwałow. Jakąkolwiek miarą chciałby ktoś mierzyć znaczenie nominacyi hr. Gołuchowskiego, w każdym razie nikt nie powie, żeśmy nie w porę wystąpili z radą: Miejmy się na baczności! Albowiem są chwile, w których baczność staje się obowiązkiem. A więc *caveant consules*!“

Ten wybryk *Moskiewskich Wiedomości* jest w bardzo złym tonie, daje bowiem to pismo do zrozumienia, że kierownik austro-węgierskiej dyplomacyi może użyć siły, jaką daje mu jego stanowisko, do rewolucyjnych intryg w obcem państwie. Każdy sądzi o ludziach po sobie i to poniekąd usprawiedliwia redakcyę *Mosk Wied.*, jednak duch Katkowa, unoszący się nad tą redakcyą, mógłby jej powiedzieć, że kompromituje go brakiem przyzwoitości w rozumowaniach. Dlatego ten artykuł, napisany tylko dla podrażnienia Polaków, powinien być przyjęty przez naszą prasę z niezmąconym spokojem i nie powinien zachęcić do odpowiedzi.

Afera w rodzaju panamskiej była w sobotę przedmiotem burzliwej rozprawy w parlamencie francuskim. Były jakieś nadużycia przy udzieleniu koncesyi na budowę kolei południowej, potem przy sfinansowaniu jej akcyj i w końcu przy samej budowie. Szczegóły nadużyć nie są nam znane; wiemy tylko, że koncesyą dano na peryod dłuższy, niż pozwala ustawa, i że zrobiono z akcyami jakąś spekulacyę, która „gründerom“ przyniosła porękawicznego sto milionów franków. Do spółki tych gründerów należeli Rouvier, Roche i Magnier, którzy byli ministrami, gdy dawano koncesyę na ową kolej. Należeli do tej spółki także inni parlamentarzyści, ale z nich podczas rozprawy wymieniono tylko Reinacha, bratanka owego barona giełdowego, który się otruł podczas Panamy. Rouvier otrzymał 1.000 akcyi kolei południowej, Roche był adwokatem przedsiębiorstwa, będąc zarazem ministrem, a Magnier otrzymał gotówką 87.500 franków;— tak przynajmniej brzmi oskarżenie, podniesione przed rokiem przez socyalistycznego deputowanego Jaurès'a, a powtórzone w sobotę przez socyalistę Rouannet'a. Zarzuty czyniono owym gründerom, głównie jednak ministrowi sprawiedliwości Trarieux'owi, że dotąd nie oddał tej sprawy sądowi. Minister oświadczył, że sumiennie badał akta, lecz dotąd nie znalazł w nich nic takiego, do czego można byłoby zastosować paragrafy kodeksu karnego; jeśli przy dalszych studyach wykryje rzeczywiste nadużycie, to winnych odda pod sąd. Radykaliści i socyaliści z jednego końca izby, a konserwatyści z drugiego ustawicznie przerywali ministrowi śmiechem i złośliwemi uwagami. Następnie Rouvier przemówił szydersko. Przyznał, iż ma tysiąc akcyi kolei południowej, lecz nie otrzymał ich w prezencie, ale kupił, a że na nich grubo zarobił, to co komu do tego? „Byłem zawsze spekulantem — rzekł on — i żadna ustawa tego mi nie zabrania. Jeśli jako deputowany, czy jako minister nie mam prawa robić pieniężnych interesów, to uchwalcie, że żaden deputowany nie może leczyć chorych, bronić przed trybunałem opryszków, prowadzić handlu i t. d. Powołajcie także przed sąd tych deputowanych-rolników, którzy głosowali za cłami ochronnemi na produkta rolnicze, bo te cła ich wzbogaciły. W końcu oświadczam, że tylko z grzeczności daję te wyjaśnienia, gdyż nie do parlamentu, lecz do sądu należy roztrząsanie podobnych spraw“. Taka przemowa znacznie złagodziła wzburzenie socyalistów i radykalistów. W tym samym tonie przemówił następnie Roche, a Magnier, jako senator, tylko z loży się przysłuchiwał. W końcu szef radykalistów Goblet zaproponował wyrazić gabinetowi ubolewanie, iż się nie stara o panowanie sprawiedliwości, a prezes gabinetu Ribot zażądał prostego przejścia do porządku dziennego i uczynił z tego kwestyę zaufania. Wniosek Gobleta odrzucono 254-ma głosami przeciw 229-ciu, poczem ogromną większością przyjęto wniosek Ribota.

Japonia przystąpiła do zdobycia Formozy orężem. Wylądowały jej wojska na wyspę w dwóch punktach: niedaleko portów Tamsui i Kelungu, poczem zaraz zaczęło się bombardowanie fortów z okrętów i od strony lądu. Jest to zwykła taktyka japońska. Jednocześnie część wojsk wyruszyła na zdobycie stolicy Thaipe, skąd podobno uciekł dawny chiński gubernator, a później prezydent republiki formozańskiej.

50-letni jubileusz kapłaństwa
ks. kardynała Ledóchowskiego

W sprawie tego jubileuszu zamieszcza *Czas* uwagi, na które się zupełnie piszemy:

„Za kilka tygodni najpierwszy dostojnik polskiego Kościoła, dziś jedyny jego purpurat, do niedawna prymas rozbitego podziałem kraju episkopatu, obecnie zajmujący drugie po Papieżu w hierarchii katolickiej miejsce jako głowa instytucyi, która swą władzą obejmuje cztery piąte ziemskiej przestrzeni, Mieczysław Halka hrabia Ledóchowski, kardynał świętego rzymskiego kolegium, prefekt Propagandy, były arcybiskup poznańsko-gnieźnieński, obchodzić będzie swe sekundycye kapłańskie. Na dniu 13go lipca r. b. upłynie lat pięćdziesiąt, odkąd kardynał Lambruchini, sekretarz stanu Grzegorza XVI-go, naznaczył piętnem wiekuistego kapłaństwa dwudziestodwu-letniego Polaka w kościele św. Jana Lateraneńskiego, zwanym: „Omnium Ecclesiarum mater et caput“. Nazajutrz nowo wyświęcony sługa Boży odprawił po raz pierwszy Przenajświętszą ofiarę w kryptach watykańskich, na grobie księcia Apostołów.

Pełnym i rodzajnym miał być zaiste okres półwiekowy, upływający od tej chwili. Po apostolskich wędrówkach, przerzucających ks. Ledóchowskiego z Madrytu do Lizbony, z Bogoty w Ameryce południowej do Brukseli, na coraz to wyższe stanowiska dyplomatyczne, bezpośrednie życzenie Piusa IX powołało młodego nuncyusza na stolicę św. Wojciecha.

Prekonizowanym został w konsystorzu z dnia 8go stycznia 1866 roku, wespół z księdzem Pawłem Melchersem, — powołanym jednocześnie na arcybiskupstwo kolońskie, jakby zapowiedzią wspólności przeznaczeń, walk i wyznawstwa.

Ostatnia na długie lata doba pogody i nadziei zaświtała dla Poznania, gdy w dzień 24 kwietnia tegoż roku wszystkie stany Wielkopolski, bogatej wówczas w ludzi i pracę skuteczną, jak żadna inna dzielnica kraju, zbiegły się na powitanie arcypasterza, przysłanego z ramienia Ojca św. Ktokolwiek uczestniczył w tem święcie, nigdy nie zapomni doznanych ztąd błogich wrażeń, gdy przy śpiewie pieśni: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, pomazaniec Boży, otoczony nieprzeliczonym tłumem, zmierzał ku swej katedrze przez świątecznie przyozdobione ulice grodu Przemysławowego. Jakieś wiosenne Hosanna zdawało się drgać w powietrzu w chwili, gdy młody biskup zawierał dozgonne śluby z powierzoną swej pieczy owczarnią. Nic wówczas nie pozwalało domyślać się rozłączenia, przeczuwać idących dni próby.

Czem był nowy arcybiskup dla swych połączonych dyecezyj, najbliższe wykazało prześladowanie. Okupując krótkość dni nadmierną pracą, potrafił on uzbroić swe duchowieństwo w takiej karności rynsztunek, że gdy nieprzyjaciel uderzył w pasterza, nie rozprószyła się trzoda. Owszem, stanęła w porozumieniu spotęgowanej wierności dokoła uwięzionego, złożonego z urzędu, wygnanego swego arcybiskupa, usiłując mu dorównać cnotą. Albożnam trzeba przypominać świeże dni ucisku, piętrzącego dotąd ruin tyle na ziemi Wielkopolskiej? Uwieziony nocną porą z pałacu, odartego z wszelkiej okazałości skutkiem nakładanych nań kar pieniężnych, ks. Ledóchowski zamkniętym został w pospolitem więzieniu, zrównanym ze złoczyńcami. Przez dwa lata oczy katolickiego świata zwracały się z uwielbieniem na samotną celkę Ostrowskiej kaźni; dalecy pątnicy przybywali składać mu hołdy swoje, Namiestnik Chrystusowy uwieńczył rzymską purpurą wyznawstwo z gotowością na męczeństwo połączone. Któż zapomnieć potrafi tryumfalny wjazd nowego kardynała do Krakowa, bezpośrednio po opuszczeniu więzienia, gdy zewsząd zbiegali się rodacy, aby ucałować świeżych pęt ślady?

Odtąd, od lat blisko dwudziestu, dostojny wygnaniec zamieszkał we wspólnej szlachetnych ojczyznie, dzieląc zrazu w Watykanie Piusowe więzienie, aby za wolą jego następcy objąć ster najwyższej w Kościele instytucyi. Nowe zaszczyty, odpowiedzialności, trudy, nie wyczerpały ani wystudziły gorącej miłości kardynała Ledóchowskiego dla rodzinnej ziemi. Sama zacność, z jaką przedstawia imię polskie i polską niedolę, już nam jedna życzliwość i szacunek obcych. A nie wątpić nam o stałem, wytrwałem, roztropnem orędownictwie, które raz po raz wyraźniejszym stwierdza się objawem, żeby tylko wspomnieć przeszłoroczną Encyklikę do Biskupów całej Polski, oraz zdumiewającą w Rzymie znajomość polskich bied i stosunków. Zabiegający do grobów apostolskich pielgrzymi polscy, w starożytnym pałacu Propagandy znajdują zawsze ojcowskie przyjęcie, ojcowską też troskliwość, aby im zabezpieczyć wszystkie podniosłe Rzymu wrażenia.

Cześć i wdzięczność narodu, w chwili jubileuszu kapłańskiego najdostojniejszego z synów Polski, niezawodnie stwierdzi się czynem i hołdem. Poznańskie oczywiście przodować będzie w święceniu jak przynależy owej rzadkiej i rzewnej uroczystości. Lecz i nasza dzielnica nie może się uchylić od uczestnictwa w obchodzie, obowiązującym wszystkie polskie, wszystkie katolickie serca. Nie przesądzamy o formie, w którą się nasze hołdy obleką. Letni pobyt kardynała w Salzburgu, zbliżeniem do kraju ułatwi jeszcze osobiste składanie mu życzeń i powinszowań. Niechby te słowa uogólniły skrzętne zachody i przygotowania, zanim nam przyjdzie dostojnemu Jubilatowi w dniu 13 lipca b. r. powtórzyć z serca płynący okrzyk: *Ad multos annos!*

Gościnność międzynarodowa.

Na początku bieżącego stulecia ludność Europy według statystyk urzędowych obliczano na 170 milionów głów. W roku 1880 według paryskiego „Bureau de Longitudes“ ludność ta wynosiła 328 milionów, ponieważ zaś Europa cała ma powierzchni 9.9 milionów kilometrów kwadratowych, zatem na kilometr kwadratowy przypadało 35.1 mieszkańców. Przez ostatnie lat piętnaście ludność na całej owej przestrzeni mogła się powiększyć o jakie 40 do 50 milionów, zatem dziś wynosi około 375 milionów, a w roku 1900 wynosić może do 400 milionów, chociażby nawet przez te lat pięć zaszła jaka wielka i powszechna wojna. Tak więc w przeciągu ostatnich lat stu ludność ta przeszło się podwoiła, chociaż nie brakowało i wojen i epidemii. Wprawdzie nie było już dawno zarazy morowej, ale bywała cholera, tu i ówdzie nie mniej sroga od swej średniowiecznej koleżanki. Trzecia plaga, o której oddalenie błagamy w suplikacyach naszych — głód — wprawdzie nie pojawił się w takich rozmiarach, jak się to zdarzało w ośmnastem stuleciu, nawiedzał jednak Europę w innej formie. Ostatni w zachodniej Europie wielki głód grasował w r. 1847

Dzieło St. Koźmiana
„Rzecz o roku 1863“.

(Rzecz o roku 1863, tomów trzy. Dwie części. Kraków 1894—1895. Nakładem Spółki wydawniczej polskiej).

Jak obrazu, posągu, pomnika sądzić nie można po częściach, tak samo niepodobna o książce wydać słusznego zdania, kolejno mówiąc o tomach, z których się składa; nie podobna zwłaszcza uchwycić i przedstawić owej całości dzieła, tak wysoko cenionej przez Łucyana Siemieńskiego, która stanowi jedną z największych zalet utworu Koźmiana. Pisał on bowiem z poczuciem i z ciągłą myślą o całości. Części również ocenić można należycie tylko w całości, gdyż jak w dziełach sztuki, tak w utworach pióra dopiero w tej całości widzi się czem są, rozpoznaje się ich przeznaczenie, ich zespolenie, ich organiczne i harmonijne zlanie.

Ukazywanie się tomami „Rzeczy o roku 1863“, mogło posłużyć do reklamy, do rozgłosu, do spotęgowania zajęcia, ale było co się tyczy sądu, niekorzystnem, utrudniało zadanie krytyki i sprawiło, że przychylna czy nienawistna, była niezupełna, niedokładna, niewyczerpująca, nieraz mylna.

Wprawdzie z części silnie narysowanych można przeczuć lub odgadnąć całość kompozycyi, lecz wtedy wchodzi w grę intuicya, a nie czerstwa, na rzeczywistości oparta krytyka. Dopiero wobec całości utworu, odzyskuje ona swoje wyłączne prawo i dopiero wtedy może rozpoznać piękności i wady dzieła. Zadanie krytyki nie byłoby spełnionem gdyby tego prawa, które pociąga za sobą obowiązek ostatecznego orzeczenia, zrzekła się. Sąd o całości należy się autorowi, zarówno jak dziełu i społeczeństwu, którego najdonioślejsze zadania porusza.

W dziedzinie historyi największy wywarły wpływ i najżywotniejszemi pozostały utwory współczesne lub takie, których autorowie stykali się bezpośrednio przez żyjących świadków z przedstawionemi wypadkami. Tucydydes i Xenofont, Cesar i Tacyt, Machiavelli, Retz, Saint-Simon, Thiers, Mochnacki, świadczą o tem na zawsze.

Wypadki, które się widziało, i ludzie przewyższają archiwa tak dobrze pod względem prawdy historycznej, jak życiowej. Żaden dokument nie zastąpi historykowi tego, na co się sam patrzał, lub co usłyszał od tych, co brali udział w wypadkach, a nigdy opowianie rzeczy, których się dziejopis w książkach uczył, nie pulsuje tak silnie, jak przedstawienie zdarzeń, wśród których on lub bezpośrednie pokolenie żyło, gdyż nigdy pierwsze nie będą przez niego odczute w tym stopniu, co drugie, a tem samem ostatnie nierównie silniej od tamtych przemówią do uczucia ludzkiego.

Bezpośredni historyk wypadków także pod względem rzeczowym daje większą sumę prawdy, niż pośredni, gdyż jako ich świadek lub współczesny świadków, więcej jej posiada, niż archiwa. Trzeba tylko, aby chciał i musiał rozpoznać i wypowiedzieć ją, ale niezawodnie łatwiej mu ją wyrwać własnym wspomnieniom, wypadkom i ludziom, niż dokumentom pergaminowym lub innym; łatwiej życiu niż śmierci. Ilość zaś namiętności, stronniczości i błędnych sądów osobistych, nie różni się tak wobec pierwszych, jak drugich źródeł. Lecz dzielność bezwzględna środków, któremi historyk rozporządza, jest zawsze większą w pierwszym, niż w drugim wypadku. Pisanie współczesnej historyi nie wyklucza zresztą potrzeby archiwów, ale idzie mu w pomoc wielkiego znaczenia siła, której zbywa dziejopisarzowi ubiegłych czasów: dokument ustny i własna pamięć.

Ten materyał w dziele Koźmiana składa się z trzech głównych czynników:

a) własne i ojca autora wspomnienia; *b*) zwierzenia hotelu Lambert i ks. Władysława Czartoryskiego; *c*) rodzinna tradycya Wielopolskich i zwierzenia białych.

Przychodzą w pomoc archiwa: *a*) pisma odnoszące się do spisku w Galicyi; *b*) korespondencya księcia Władysława Czartoryskiego z białymi i z Rządem Narodowym; *c*) korespondencya centralnego rządu wiedeńskiego z Namiestnictwem we Lwowie.

Jeżeli prócz faktów, współczesny materyał, zwłaszcza ustny, obejmuje dzieje przeobrażeń myśli historyczno-politycznej, wtedy dzieło, które na nim się opiera, jest wyjątkowem, nie tylko budzi niezwykłe zajęcie, ale nabiera także doniosłego znaczenia. Dzieje przeobrażenia historyczno-politycznej myśli polskiej przedstawia w książce Koźmiana grono krakowskie, które jak nić ciągnie się w niej i jest zarazem nicią przewodnią wśród labiryntu zdarzeń i rozumowań. Trzymając się jej, wstąpmy do gmachu i rozpatrzmy się w jego całości.

Gdyby historya zdarzeń miała być tu głównem zadaniem, zaraz na wstępie stwierdzić byśmy musieli błąd architektoniczny. Skoro widocznem jest, że autor zamierzył skreślić dzieje przeobrażenia myśli, a faktami tylko jako środkiem pomocniczym posługuje się, nie możemy bezwzględnie zganić rozkładu gmachu, do którego wprowadza nas przedsionek, to jest „Część pierwsza“, objęta w jednym tomie.

I.

Do przeobrażenia politycznej myśli polskiej, to jest do konkluzyi autora, która jest stwierdzeniem tego przeobrażenia, dały powód wypadki, nad któremi się zastanawia, a pochop do niego — udział w nich **grona krakowskiego**. Musiał je zatem najprzód przedstawić, aby wykazać nietylko ich wpływ, ale także ich związek z konkluzyą. Ztąd wypadki te stanowią przedsionek gmachu, który wydał się wielu krytykom i czytelnikom końcową komnatą, wadliwie umieszczoną na pierwszem miejscu. W następstwie logicznem rozkładu, przyjętego przez autora, środek budowy składa się z przyczyn wypadków, a dopiero nauka z nich zaczerpnięta i konkluzya wysunęły się jakby ostatni ganek, z którego roztacza się daleki widok na przyszłość. Krytyka, ale niezawodnie i błąd konstrukcyi pochodzą stąd, że w ten sposób pojęte zadanie wykluczało zwykłe reguły architektoniczne, bo treść rozsadzała formę historyczną, strona idealna przeważała praktyczną, duch i zamiar nie dały się zastosować do rozmiarów budowy historycznej. Dzieje przeobrażenia myśli nie mogły być przeprowadzone wedle zasad historyi faktów; ale z drugiej strony, jak na rozprawę, którą chciało być i pozostało dzieło Koźmiana, za wiele jest w niem historyi, za wiele zdarzeń; to, co miało być pomocniczym materyałem, za wiele zajmuje miejsca, sprawia złudzenie, daje pozory historyi, co razem wzięte, psuje symetryczność gmachu.

Odłączmy pomocniczy materyał historyczny od dzieła, a pozostanie zwięzła, jasna, pełna treści, mistrzowska rozprawa historyozoficzna. Nie zatraćmy jednak tego materjału, bo stałaby się wielka historyi krzywda. A tak należałoby z tego dzieła zrobić dwa: jedno faktów, drugie rozumowań; pierwsze byłoby niedostatecznem, drugie doskonałem. Pierwsze zatem szkodzi drugiemu, lecz dzielnie przychodzi w pomoc całości. Rozłączone, niezawodnie, odpowiadałyby pojęciom symetryi i przyzwyczajeniom ogółu; połączone, rażą i owe pojęcia i owo przyzwyczajenie, a przecież jako dzieje myśli politycznej polskiej, dopełniają się, stanowią potężną duchową całość, choć nieforemną architektonicznie.

Pierwsza część, opiera się przeważnie na dokumencie własnych wspomnień. Byłaby nie mała szkoda dla historyi faktów, gdyby ten dokument był zaginął, chociaż jak każdy poddanym być winien krytycznemu badaniu. Dla dziejów przeobrażeń myśli politycznej i dla konkluzyi to opowiadanie było niezbędnem, jako zawierające ich pierwiastek. Ma ono wszystkie zalety akcyi żywej i dramatycznej i tę już tylekrotnie podnoszoną szczerość wyższego gatunku, która stanowi jego wdzięk i wartość zarazem; **Część pierwsza** jest sama przez się całością, a przecież ileż by straciła na znaczeniu i doniosłości, gdyby, po niej, nie następowała **Część druga**. Pozostałaby pamiętnikiem, gdy teraz jest częścią niepoślednią rozprawy historyczno-politycznej, jednym z najsilniejszych jej argumentów, bo argumentem faktów, zdarzeń, wypadków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

w Irlandyi i przez ten rok oraz następny wymordował przeszło milion ludzkich istot, to jest przeszło ósmą część ówczesnej ludności tej wyspy.

Zaznaczyć też należy wielki w tem stuleciu wzrost emigracyi z Europy. Trzy narody tutaj się odznaczały. Wielka Brytania, z której od r. 1815 do 1890 wyemigrowało około 15 milionów ludzi zdrowych i w sile wieku, Niemcy, zkąd od r. 1821 do roku 1890 do samych tylko Stanów Zjednoczonych wyszło 4½, (podajemy cyfry okrągłe), a wogóle na wszystkie strony do 10 milionów, oraz Włochy. Emigracya za ocean szła zresztą zewsząd, nawet z tak mało zaludnionej Skandynawii, którą od r. 1821 opuściło przeszło milion mieszkańców. Z wielkich państw zachodnich Francya najmniejszy w tym ruchu emigracyjnym przyjęła udział, bo nie ma co wysyłać z powodu bardzo małej płodności francuskich małżeństw. Gdyby nie owa, wzrastająca wszędzie, emigracya, mielibyśmy już dziś, a z pewnością w r. 1900, jakie 420 milionów ludności.

Ten ogólny wzrost ludności rozmaicie się na rozmaite kraje rozkłada. Tak np. w Polsce w r. 1816 liczono 22 ludzi na kilometr kw., dzisiaj zaś liczą 67 głów na klm. kw. Gęstość zaludnienia jest także bardzo rozmaita. W ogóle zmniejsza się, idąc od zachodu ku półn.-wschodowi. Kiedy np. w Belgii ludność ogólnie wynosi 208 na klm. kw., w Anglii właściwej 192, we Francyi 72, w Rosyi europejskiej dochodzi tylko do 20 głów na klm., przedstawiając przytem wielkie miejscowe różnice; w archangielskiej np. gubernii mającej obszaru prawie dwa razy tyle co Francya, przypada na kilometr kw. tylko 0,3 człowieka. Rosya więc ma jeszcze sporo ziemi na wyżywienie przyrostu ludności a nawet może mieć przewyżkę zboża do wywozu, byle tylko ustawodawstwo jej nie tamowała gospodarstwa rolnego.

Inaczej rzecz się ma z resztą Europy, gdzie już dziś zaczyna być w wielu krajach ciasno. Co będzie za lat sto, gdy ogólna ludność Europy wzrośnie do jakich 700 milionów? Ta przypuszczalna cyfra jest bardzo prawdopodobną pomimo wszelkich mniej lub więcej możebnych katastrof. Chybaby reszta Europy zachodniej poszła za przykładem zdemoralizowanej na wskróś pod tym względem Francyi, gdzie małżeństwa, we wszystkich klasach, starają się mieć dzieci mało, by się majątek nie rozdrabniał, gdzie związki bezślubne, jeszcze silniej temu systemowi hołdujące, coraz więcej się mnożą, a rodzina coraz bardziej rozprzęga się. Ponieważ podobny zwrot w obyczajach innych narodów nie jest przypuszczalnym, chociaż moralność niektórych nie bywa od francuskiej w innych względach wyższą; ponieważ szalony wzrost militaryzmu, przyczyniając się do zmniejszenia liczby małżeństw, nie oddziaływa dotąd ujemnie na ilość urodzeń w ogóle: możemy więc przypuścić, że istotnie za lat sto będzie nas, Europejczyków, 700 milionów.

Za lat sto! Któż sobie głowę łamie o termin tak odległy? Nie brak jednak ludzi i to bardzo poważnych, którzy już dziś myślą o tem bardzo poważnie, a innych uwagę na ten przedmiot zwracają, szukając środków przeciw klęskom, jakie podobne przeludnienie sprowadzić może. Do tej pory główne lekarstwo widziano powszechnie w emigracyi do krajów mniej zaludnionych, lub za ocean. Dziś pierwsza droga jest prawie zamknięta. Narody europejskie zaczynają się barykadować coraz silniej przed napływem cudzoziemców, a nawet szorstko wymawiać gościnę tym, którzy już czas jakiś z ich gościnności korzystali. Przykładów przytaczać nie potrzebujemy; znane są powszechnie. To państwowe usposobienie popierane jest, nieraz nawet wywoływanem, przez ludność, zwłaszcza przez klasy robotnicze, obawiające się współzawodnictwa na własnej grzędzie i zmniejszenia środków zarobku przez przybyszów pracujących taniej. Widzimy to we Francyi, gdzie robotnicy bardzo krzywem okiem patrzą na Belgów i Włochów, szukających roboty, a których we Francyi żyje dziś przeszło milion. Im więcej rąk do pracy, a gęb do żywienia, tem mniej te ręce są płatne, a gęby muszą częściej głód cierpieć. Tak rozumują robotnicy nad Sekwaną. Tak rozumują nad Tamizą także, w tym kraju wolnego handlu, więc nieograniczonej konkurencyi, zwłaszcza gdy za pomocą bezrobocia próbują zmusić pracodawców do podwyższenia płacy. Wołają nawet na rząd, by zabronił wstępu ubogim żydom polskim, bo psują targ pracy, fuszerując za pół darmo robotę. Parę lat temu ciekawe w tym przedmiocie czytaliśmy z Londynu doniesienia. Takież same objawy, mniej lub więcej jaskrawe, spotykamy wszędzie. Zamiast gościnności międzynarodowej i życzliwości, w Europie naród się zamyka przed drugim narodem, jak przed złodziejem. Wszak świeżo robotnicza ludność Lwowa chciała wypędzić stąd robotników mazurskich, swych braci.

Pozostaje droga, droga droga za ocean. Tam ziemia czeka i wzywa ludzi. Ale i tam ten sam brak gościnności już się zaczyna objawiać i z tych samych powodów. Nie mówimy o południowej Ameryce, gdzie jeszcze ściągają wychodźców obietnicami, zwykle niedotrzymywanemi. Bankructwa też rządów, ich nieustające rewolucye, nie pozwalające na ustalenie się stosunków, powstrzymywać muszą, a przynajmniej zmniejszać prąd emigracyi na to południe.

Dotąd ten prąd kierował się więc głównie do Stanów Zjednoczonych, tam spodziewano się gościnności, swobody, porządku i obfitszego niż w Europie zarobku. Ziemi tam w bród, obszar równy całej Europie, bo wynoszący 9,212300 kilometrów kwadratowych, na nim żyje ludzi tylko 62,981.000, czyli zaledwie 15 głów na kilometr. Wprawdzie w dwóch lub trzech stanach wschodnich nad Atlantykiem prawie tak ciasno jak w Europie zachodniej, ale za to jak przestronno w innych czterdziestu kilku, chociażby nawet w tej legendowej Kalifornii gdzie ledwo 3 ludzi na kilometr kwadratowy wypada. A ziemia, jaka świeża, jak nie spracowana, nie wycieńczona wielowiekową uprawą i rodzeniem. Wszystko to prawda, ale gościnność yankesów skończyła się; nie przyjmują lada kogo, żądają wykazania funduszów, dowodów zdrowia, umiejętności zarobkowania. Niektórym stanowczo przed nosem zamykają wrota, mówiąc do nich: Ameryka tylko dla Amerykanów, nie dla was. Kwita z gościnności, nie potrzebujemy was.

Europejscy emigranci jeszcze takim zakazem nie są dotknięci, żądają od nich tylko pewnych kwalifikacyi, co jest wielkiem utrudnieniem; ale przed paru laty kongres Wielkiej Rzeczypospolitej przyjął bill bezwarunkowo zamykający wstęp do kraju Chińczykom, jakkolwiek ustawa taka jest przeciwna prawu narodów, duchowi konstytucyi Rzeczypospolitej i chrześcijańskiej miłości bliźniego. Już w roku 1888 wydano rozporządzenie powstrzymać masowy napływ „mongolskich hord", jak Chińczyków przezywać wówczas zaczęto. Opierano się w motywach wstydliwie na niemoralności tego ludu, na jego zamiłowaniu w brudach, na jego trędowatych cerach i na innych podobnych powodach, które nie są bezzasadne, ale owego wygania nie usprawiedliwiają, ani prawdziwymi powodami nie są. Dziś maskę zdjęto. Chińczycy pracują ciężko, umieją pracować, pracują bardzo tanio i dobrze, biały więc robotnik, mający prawo głosu, będący wyborcą, nie chce pozwolić na podobne współzawodnictwo i zabrania wstępu Chińczykom, rozporządzeniami czy dekretami swych związków robotniczych.

Popiera go w tem robotnik czarny. Bo najciemniejszy i najgnuśniejszy murzyn w granicach Stanów Zjednoczonych ma prawo głosu. Chińczyków zaś, z których każdy jest chociaż trochę wykształcony i posiada ślady starszej niż europejska, odrębnej wprawdzie, ale bądź co bądź wielkiej cywilizacyi, uchwałą prawną Stany Zjednoczone wyganiają. Dlaczego? Bo w Amerykanach ostatnimi czasy rozwinęła się zazdrość międzynarodowa i wypędziła ową międzynarodową gościnność, na której dotąd tak dobrze wychodzili. Chodzi im o to, by nikt obcy nie dostał ziemi jeszcze niezajętej i wziął się do jej uprawy, chociażby tylko o jej garść chodziło. Nie jest to jeszcze koniec polityki Stanów Zjednoczonych przeciw emigrantom zagranicznym, jakkolwiek jest szczytem tego prawodawstwa, którego bezgraniczny i ciasny egoizm drwi sobie ze wszelkich względów międzynarodowej gościnności. Można być nawet pewnym, że niedługo prawodawstwo amerykańskie wzbogaci się nowymi zakazami, które dotkną bardzo Europę i zamkną tak jej potrzebne klapy bezpieczeństwa, tak niezbędne dla jej spokoju i przyszłości.

KRONIKA.

Lwów 4 czerwca.

Podróż p. Namiestnika. P. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, zwiedziwszy Bochnię, udał się, jak to donieśliśmy, powozem z Bochni przez Brzesko do Tarnowa. Po drodze zatrzymał się w Brzesku, gdzie zwiedził tameczne starostwo i w Wojniczu, gdzie mu się przedstawili urzędnicy sądowi i reprezentacya gminy. Późnym wieczorem przybył do Tarnowa, gdzie powitano go bardzo uroczyście. Cała droga od wału kolejowego aż do hotelu, w którym p. Namiestnik zamieszkał, oświetloną była rzęsiście pochodniami. U wstępu do miasta powitał dostojnego gościa burmistrz p. Rogoyski. Nazajutrz tj. w piątek zwiedził p. Namiestnik szkoły średnie i ludowe w Tarnowie, poczem złożył wizytę ks. biskupowi Łobosowi. O godzinie 12 w południe udzielał audyencyi. O godzinie 2 był na śniadaniu u radzcy Namiestnictwa p. Płazińskiego, starosty tarnowskiego, wieczorem zaś o godzinie 6 był na obiedzie danym na cześć jego przez Radę powiatową.

W sobotę zwiedzał p. Namiestnik w dalszym ciągu szkoły ludowe, następnie zaś powiatową dyrekcyę skarbu, młyn parowy, bursę św. Kazimierza i szkołę Urszulanek. O godzinie 1 był na śniadaniu w pałacu biskupim. Po śniadaniu zwiedzał świątecznie przystrojone miasto, a o godzinie 5 wyjechał na obiad do Partynia do Józefa Męcińskiego. Z Partynia odjechał p. Namiestnik z powrotem do Lwowa.

Mianowania. P. Namiestnik zamianował wachmistrza żandarmeryi Antoniego Jankowskiego kancelistą policyjnym w etacie dyrekcyi policyi we Lwowie; krajowa Dyrekcya skarbu we Lwowie zamianowała Adama Płazińskiego stałym oficyałem gorzelń.

Czterdziestoletni zjazd koleżeński odbędzie się we Lwowie dnia 16 bm. tych kolegów, którzy w r. 1855 ukończyli ósmą klasę lub też składali egzamin dojrzałości w gimnazyum bernardyńskiem. Miejsce zebrania o g. 8 wieczorem u Stadtmüllera

Towarzystwo strzeleckie obchodziło przedwczoraj tradycyjną uroczystość detronizacyi króla kurkowego. Ceremonja ta rozpoczęła się nabożeństwem w sąsiednim kościele OO. Franciszkanów, w którem wzięli udział członkowie Towarzystwa strzeleckiego we frakach i w kontuszach z muzyką i sztandarem. Popołudniu fiakrami udano się do mieszkania króla kurkowego p. Dzikowskiego, gdzie wypito zdrowie króla, poczem wraz z nim z powrotem zajechano na strzelnicę. Tu dopiero odbyła się właściwa uroczystość detronizacyi, złożona z przemów pp Mochnackiego i Ciuchcińskiego i złożenia przez p. Dzikowskiego insygniów królewskich. Do 13 czerwca potrwa tak zwane „strzelanie królewskie" w czasie którego najlepszy strzelec zostanie obwołany królem

Lemberg Hounds. Ostatnie polowanie z psami w sezonie wiosennym odbyło się w sobotę 1 bm. Polowanie udało się świetnie.

Zebrało się na nie nader liczne towarzystwo, a między innymi komenderujący hr. Schulenburg, feldmarszałek porucznik Mertens, szef sztabu jener. pułkownik Fischer, pułkownik Nachodski, podpułk. Lahousen z żoną, oraz wielu oficerów sztabu jener., kawaleryi, artyleryi i trenu. Polowanie prowadził kapitan Madeyski i podpor. ks. Windischgrätz.

Ruta prowadziła przez góry Błonie w Zamarstynowie, następnie cudną doliną do wąskiego przełomu leśnego, gdzie gęsto ustawione przeszkody były brane tak przez panów, jak i przez obecną podpułk. Lahousenową z prawdziwą werwą i zimną krwią.

„Halali!" odbyło się w alei brzuchowickiego lasu koło willi Sans-Souci, gdzie w cieniu drzew oczekiwały zmęczonych i spragnionych jeźdźców chłodzone wina i przekąski.

O zdrowiu dra Fr. Smolki, który bawi w kuracyjnej miejscowości Römerbad w Styryi, rozeszły się pierwszego dnia Św. Zielonych niepokojące wieści. Teraz donoszą ztamtąd, że stan zdrowia czcigodnego dra Smolki na szczęście polepszył się zupełnie tak, że sędziwy rekonwalescent używa już pieszej przechadzki. W tych dniach nawet opuści dr. Smolka Römerbad wraz z synem dr. Stanisławem Smolką, który w niedzielę przybył do chorego ojca.

Na cele dobroczynne. W Wiedniu zawiązało się Towarzystwo, którego celem jest zbieranie składek i spieszenie z pomocą nieszczęśliwym mieszkańcom we wszystkich prowincyach Austryi, dotkniętym jakąś klęską elementarną. W celu szybkiego zbierania pieniędzy postanowiło Towarzystwo wydać nowe karty korespondencyjne, osobne dla każdego z krajów monarchii. Dochód ze sprzedaży tych kart obrócony byłby na zapomogi dla nieszczęśliwych dotkniętych powodzią, gradem, pożarem trzęsieniem ziemi i t. d. Towarzystwo ma nadzieję, iż przy dobrej woli publiczności, może co roku na cele dobroczynne zyskiwać miliony i rozdzielać je między potrzebujących.

W Wiedniu zaczęły kursować wozy tramwajowe poruszane nowym motorem systemu Serpolieta. Czynione dotychczas próby dały świetne rezultaty. Wozy kursują szybko, a utrzymanie ich w ruchu kosztuje nadzwyczaj mało.

Konkursa. Wydział powiatowy w Kałuszu rozpisał konkurs na posadę lekarza okręgowego w Wojniłowie z roczną płacą 500 zł. i dodatkiem na podróże w kwocie 300 zł. i na posadę lustratora majątków gminnych z roczną płacą 700 zł. i dodatkiem na objazdy w kwocie 300 zł. Podania należy wnieść o pierwszą posadę w ciągu czterech tygodni, o drugą zaś w ciągu sześciu.

W ostatnim numerze *Pochodni* czytamy opowiadanie, malujące wiernie a dosadnie socyalistycznych naszych menerów. Opowiadanie to, w którem każdy z ruchem socyalistycznym obznajomiony rozpozna z łatwością oryginały, które pozowały przed autorem, ma tytuł: „Rozmyślania socyalistycznego generała". Powtarzamy je w całości:

„Nie wiedział już człowiek, jak z kłopotu wybrnąć i przyjść do kawałka chleba i kawałka honoru. W szkołach nie bardzo szło; możeby zresztą poszło, gdyby nie to, że złota wolność za nadto ku sobie ciągnęła. Raz, ot, spodobało mi się parę książek i ładny, w rosyjską skórę oprawny pulares kolegi; w pularesie coś tam było 300, czy 400 florenów. Wziąć, nie wziąć? Czemu nie wziąć, czemu on ma mieć więcej niż ja? Wziąłem, a głupia dyrekcya, co nigdy widać nie zapoznała się z socyalistycznemi teoryami, i ani Marksa, ani Lassalla, ani nikogo z naszych messyaszów nie zna, zadekretowała: „To złodziej!" i z austryackich gimnazyów mię wykluczyła. Co tu robić, gdzie się zwrócić, jak sobie na kawałek chleba zarobić?

Ba! — a od czegóż głowa? Czy od pozłoty? Kiedym już raz socyalistyczne zasady w życie wprowadził, trzeba postępować konsekwentnie i dalej przedstawiać socyalistę! Patrzcie — zacząłem pisać i wołać — męczennikiem jestem! Prześladują mię, bo się za wasze prawa ujmuję (O tej tam głupiej kradzieży nie wspominałem — a co komu do tego?).. Prześladują mię, bo walczę za równość, walczę za to, żebyście wszyscy mieli co jeść i co pić!... Chcecie, żeby wam się dobrze działo, żeby raj był na ziemi, to złóżcie się na mnie i dawajcie pieniędzy, jak najwięcej pieniędzy, a ja już wam ten raj sprowadzę!"

Takem krzyczał, krzyczał — gdzie się dało, to na zebraniach, to na zabawie, to w ogrodzie, to w lesie. Krzyczałem, a że mam piersi dobre i mogę sobie przyznać, że mi słowa nie zabraknie; więc poczciwe ludziska słuchały, głowami kiwały, a jeden, drugi, trzeci do kieszeni sięgnął i dziesięciocentówkę, czasem dwie, czasem trzy do ręki mi wpakował, albo grzecznie odniósł do naszego lokalu. Ja każdego po ramieniu poklepałem:

— Dziękuję ci towarzyszu! To dla sprawy! Tylko więcej dawajcie, więcej!!!

A ono, pewnie, że dla sprawy — bo i ja i nasza socyalno-demokratyczna sprawa, to jedno! A cóżby ta hołota bezemnie robiła? Przecież ja im muszę mowy napisać i wybębnić z nimi, jak i co mają na zebraniach gadać. Ja muszę za nich do naszego pisemka pisać!.. Słusznie, żeby mi płacili... Przecież nie będę tak jak oni mieszkał; przecież kilka porządnych pokoików potrzebuję. Nie będę jadł, jak oni; rano muszę mieć kawkę, na śniadanko wstąpić tu czy tam, do handelku, coś zakąsić, coś przepić; na obiad bifsztyk konieczny, a bifsztyk trzeba znowu buteleczką zalać. Te chamy do tego nieprzyzwyczajone; ale ja co innego. I czarnego porządnego surduta mi potrzeba, i chusteczki ładnej z jedwabnemi literami, no! i zarzutki w lecie, tak jak w Paryżu noszą, i futerka w zimie... Potrzeba, potrzeba... a zkąd wziąć, za co do kąpiel na parę miesięcy pojechać, jeśliby się „towarzysze" nie złożyli?...

Prawda! czasem, to mi ich prawie żal. Napracuje się to, napoci cały dzień przy cegle, przy wapnie; cały boży dzień igłą wierci, albo młotem bije; zarobi sobie reńskiego, nie doje, nie dospi, a na mnie się składa. Miałem skrupuły: Czy to się godzi? Ludzie nazywają to znowu oszustwem, złodziejstwem! Głupcy! a czy ja komu gwałtem z kieszeni wyciągam. Sami chcą, sami dają... Kiedy im to przyjemność sprawia, czemu tej przyjemności im odmawiać!...

Pfe! łapię się ciągle, żem się jeszcze sam nie dosyć pozbył starych przesądów!..

W każdym razie dobrze mi dziś... Mam pieniądze, mam poważanie, a zapracowywać się nie potrzebuję. Niechno jeszcze przyjdzie równe, powszechne głosowanie, dam się wybrać do parlamentu, pojadę do Wiednia... Oj! będzie to wesołe życie z towarzyszami i towarzyszkami!.. Tu w tej głupiej Galicyi nie ma ani dobrego teatru, ani porządnego cyrku, ani restauracyi przyzwoitej... W Wiedniu za to sobie użyję... Co tam za szampan, co tam za tancerki... Palce lizać!..

Aj! aj! Już pół do dziesiątej — a tom się zagapił!... Za pół godziny zebranie, a ja w dodatku trochę niewyspany po wczorajszym baliku... Oj! było wesoło i trochę się za dużo starego węgrzyna piło!... Co ja im powiem dzisiaj?.. A no! powtórzę im, com mówił przeszłego miesiąca: jak to panowie wyzyskują i używają — a my pracujący w pocie czoła robotnicy wiecznie głodni, obdarci i spragnieni..

Ale wprzód dla animuszu, trzeba sobie ze dwie buteleczki porteru wytrąbić!..."

Zwracamy też uwagę na ciekawy szereg artykułów, wychodzących w *Pochodni* p. t.: „Nory mieszkalne".

Surowica przeciw błonicy Prof. O. Bujwid puścił obecnie w świat surowicę przeciwbłoniczną, otrzymaną w krakowskim zakładzie hygienicznym. Siła surowicy odpowiada sile surowicy Rouxa i Behringa nr. 2. Cena flakonu, zawierającego 10 cm³, wynosi w aptekach 1 złr. 30 ct.; jest to zatem najtańsza surowica przy równej sile działania z zagranicznemi.

Samobójstwo. W niedzielę po południu powiesił się w rynku pod l. 13 niejaki Józef Tadler. Stwierdzono, że Tadler targnął się na swoje życie w stanie nieprzytomnym.

Nowe stacye telegraficzne otwarte zostaną 8 b. m. w Zabłotowie i Załuczu Dworzec w pow. śniatyńskim.

Nagły zgon. W sobotę wieczorem umarł w Przemyślu w obozie barakowym porucznik artyleryi polowej Rozłucki wskutek udaru serca.

Skąd się wzięły batorówki? Z powodu zamieszczonej w naszem piśmie notatki o zakazie noszenia batorówek w Kałuszu otrzymaliśmy od specyalisty w rzeczach historycznych następujące wyjaśnienie: Z pism historycznych dowiadujemy się że Batory nosił strój węgierski, na głowie miał kołpak sobolowy z czarną kitą. O barankowym jego kołpaku nigdzie nie ma wzmianki. Nigdzie też nie ma wzmianki o czyjejkolwiek czapce tego nazwiska. Gołębiowski, w dziele o ubiorach w Polsce, podaje słownik nazw wszystkich, jakie tylko egzystowały, męskich i niewieścich strojów; wszystkich przyborów i materyi używanych: z pewnością nie pominąłby nazwy batorówki, gdyby była kiedykolwiek znaną lub wspominaną. Mówiąc zaś o kołpaku, z pewnością nie omieszkałby wspomnieć o barankowym kołpaku Batorego, gdyby się ten król taką czapką upamiętnił. Rzecz i nazwa zupełnie więc w pismach polskich nie znana do czasu konstytucyi galicyjskiej. W owym to czasie, pojawiło się parę kołpaków skromnych, barankowych, którym — dla większego uzacnienia w towarzystwie kolegów sobolowych — przypisano rodowód królewski: nazwano

---

23)

OPOWIEŚCI PRAWDZICA

(Obrazki z życia Sportsmana).

(Dokończenie).

IV.

Zaraz po południu ogromne tłumy pieszej publiczności podążały na Błonie i gęstym zwartym szeregiem ustawiły się w koło toru. Po drugiej już zaczęły się sunąć z miasta ekwipaże. Pięknych było daleko mniej stosunkowo niż we Lwowie, który modeluje się pod tym względem na obraz i podobieństwo Wiednia; Kraków zaś z pewną wielkopańską obojętnością traktuje te drobnostki i błyskotki życia, jak gdyby niemi gardził.

Prawdzic, wyprawiwszy ze stajni „Metellę", prowadzoną w ręku przez chłopca pod eskortą Macieja, pojechał na tor, i stojąc przed trybuną od strony, z której powozy zajeżdżały, czekał na panią Laurę, bo bądź co bądź, owa zachwalona Porajówna go zaciekawiała.

Zajechał nareszcie hotelowy landau, zawierający: panią Laurę i państwo Porajów z córką, na koźle siedział ów z szybą w oku kuzynek-paryżanin. Dojrzawszy Prawdzica, pani Laura odrazu przemówiła do niego:

— Podaj mi rękę; a jakiś ty piękny w tym stroju! Nigdym cię takim nie widziała.

Prawdzic oczywiście był w stroju żokiejskim, przysłoniętym paletotem. Na wezwanie kuzynki przystąpił do drzwiczek i ona go zaraz przedstawiła państwu Porajom i pannie. Powysadzał panie z powozu, podał ramię pani Porajowej, aby ją zaprowadzić na trybunę. Poraj prowadził panią Laurę, pannę zaś kuzynek, który zaraz potem przedstawił się Prawdzicowi i zaczął coś opowiadać o wyścigach w Paryżu, Auteuil, Chantilly, zapytywał go czy jeździ, ile razy tego dnia i t. d.

Prawdzic tymczasem przypatrywał się pannie.

Pomimo, że mu ją kuzynka tak zachwaliła, wydała mu się bardzo ładną, świeżą jak pączek róży, a przytem wcale dystyngowaną i ubraną doskonale. Nic nie wyglądała na świeżą pensyonarkę, ale nie było czasu na długie oględziny, zabierał się do odejścia, kiedy go pani Laura zagadnęła:

— Kuzynku, wiele razy dziś jeździsz?

— Pięć.

— Toż jest tylko pięć biegów.

— Ja też w każdym jeżdżę.

— A jakie kolory?

— Naznaczę na programie konie na których mam jeździć.

Dobył z kieszeni program i ołówek, poznaczył i poszedł do wagi.

Przed wielkim biegiem myśliwskim odbyły się cztery inne. Prawdzic jeździł na koniach rozmaitych właścicieli, więc zważywszy się po jednym biegu, musiał się zaraz ważyć do drugiego, naturalnem było, że nie miał ani chwili czasu, aby pójść na trybunę i rozmawiać z paniami. Dwa biegi wygrał, w jednym przyjechał drugim, a jeden przegrał.

Zadzwoniono nareszcie do wielkiego biegu myśliwskiego.

Pierwszy wyjechał na tor Prawdzic w kolorach Nałęcza, kurtce w poprzeczne pasy białe i czerwone.

Przy siodłaniu jeszcze, które uskutecznił własnoręcznie, drżącym od wzruszenia głosem zapytał go Nałęcz:

— Obstajesz przy pierwotnym planie jazdy?

— Naturalnie

Przejechał stępo po przed trybunę, wiążąc cugle, poczem zawróciwszy „Metellę", zrobił próbny galop. Tuż za nim pojawił się Fürstenthal w białej kurtce, później czterech oficerów.

Ogólnie podobały się „Erin" i „Metella".

Pojechali do startu, a skoro opadła chorągiewka, jak z procy wyleciała „Metella" naprzód. Jedną przeszkodę po drugiej brała świetnie, a idąc na przodzie stała się znacznie łagodniejszą, i dała się łatwo trzymać, to też jeździec stojąc w strzemionach, z nagiemi rękami zaciśniętemi na cuglach i opartemi na górnej krawędzi łopatek klaczy, wyglądał spokojnie jak posąg i zdawał się nie spieszyć wcale, chociaż jechał o wiele przed resztą jeźdźców. Kiedy skoczył podwójną przeszkodę przed trybuną zagrzmiało głośne brawo, które klacz trochę zaalarmowało.

Wszyscy inni jeźdźcy jechali w zbitej gromadce, w której środku trzymał się Fürstenthal. Wszystkie konie skakały świetnie. Uspokoiwszy nieco klacz, Prawdzic zwolnił trochę chodu, dał jej odetchnąć, a po chwili znowu puścił tak, że znacznie zwiększył odległość dzielącą go od współzawodników.

Kiedy drugi raz najeżdżał na ową przeszkodę przed trybuną: rów 14 stopowy, przysłonięty płotem 3½ stopy wysokim, jechał prawie całym chodem klaczy.

August Rawicz, stojący obok przeszkody, zawołał głośno:

— Steady! steady! *).

— Aha! — roześmiał się jeździec, poznawszy głos — i napędził klacz cuglami.

Zrobiła skok ogromny, że przez chwilę widać było oboje w powietrzu.

Znowu zagrzmiały brawa.

Obok Rawicza stał znajomy jego z Królestwa i zapytał:

— Czy to anglik żokiej?

— Nie, mój dobry znajomy, szlachcic z Podola.

— Jakto, jedzie na taką przeszkodę i śmieje się? A gdyby klacz utknęła?

— Prawdopodobnie kark by skręcił.

— To jakiś waryat.

W drugim obiegu koła znowu zwolnił na chwilę, a potem odsadzał się coraz bardziej, i spokojnym, wolnym galopem stanął u mety sam jeden, bez walki, witany oczywiście grzmotem oklasków.

Jeden Polak przeciw pięciu Niemcom, i jeden koń polski!

Po ostatniej przeszkodzie wysunął się Fürstenthal, daleko w tyle zostawił wszystkich innych, rozpaczliwie pędzących konie; ale już było za późno, żeby mógł był Prawdzica dopędzić.

Kiedy ten wychodził od wagi, chwycił go w objęcia Nałęcz.

— Jechałeś jak anioł, jeśli aniołowie na wyścigach jeżdżą.

— A dobry był plan?

— Skutek pokazał. Dziękuję ci, żeś mnie namówił, abym klacz puścił, żeś klaczy jak swojej doglądał, i żeś mi tak świetnie bieg wygrał. Proszę cię, żebyś, jak długo ona będzie biegała, zawsze był łaskaw na niej jeździć, nikomu innemu jej nie powierzę.

— Dziękuję ci, jestem zawsze na rozkazy.

— Oto się Williams ucieszy! Skoro wrócę do miasta, zaraz mu zatelegrafuję.

Na to przystąpił Fürstenthal i powinszowawszy Nałęczowi i Prawdzicowi, rzekł:

— We Lwowie mnie z pewnością nie pobijesz.

— Kto wie?

— Ja wiem najlepiej, bo mego konia wycofam, znowu mi odskoczysz naprzód, a ja się muszę między końmi trzymać.

Pożegnał ich Prawdzic, i poszedł do „Metelli". Już była wytarta i ubrana w kapę; wyprawił ją więc do stajni. ale przed odejściem stary Maciej objął mu kolana i rzekł:

— Proszę jaśnie pana, ja od młodu przy koniach wyrosłem, a nie przyśniło mi się nigdy, żeby to tak można jeździć. Niech jaśnie panu Bóg da zdrowie za naszą kobyłę.

VII.

Raut u księstwa był świetny. Reprezentowane było najwyższe towarzystwo polskie z pod wszystkich trzech zaborów. Takiego zbioru pięknych kobiet i świetnych tualet, nie łatwo sobie wyobrazić.

Była też i pani Laura i Porajowie z córką.

Prawdzic się zbliżył, pani Laura wygadywała na wyścigi, że to barbarzyńskie igrzyska przypominające dawne walki gladyatorów, a dzisiejsze walki byków, a panna Porajówna zawołała:

— Ach to prześliczne, ja pierwszy raz w życiu widziałam.

Nieodstępny kuzynek Ludwik winszował też Prawdzicowi wygranej i zapewniał, że piękniej jeżdżonego biegu nie widział ani w Auteuil, ani w La Marche, ani w Nizzy.

Kiedy porozmawiawszy chwilę z paniami Prawdzic miał odchodzić, pani Laura wstała:

— Podaj mi rękę — rzekła — i zaprowadź mnie do bufetu, tak gorąco, muszę wypić szklankę limoniady.

Podał jej ramię, — i idąc do bufetu zapytała:

— No cóż, jak ci się podoba?

— No, śliczna dziewczyna, dobrze się ubiera, a raczej ją ubierają, ma bardzo dobre maniery, i nic w niej nie znać pensyonarki.

— Więc podoba ci się?

— No tak, ale znowu nie tak, żeby aż wytrzymać nie można.

— Pleciesz jak zawsze, — zobaczymy, co powiesz, jak ją bliżej poznasz — a już się o to postaram.

Tu jej już jutro nie zobaczysz, bo oni wcześnie rano wyjeżdżają, ale jak po wyścigach lwowskich — bo tych oczywiście za nic nie opuścisz — przyjedziesz do mnie, a więcej z nią pomówisz, to chyba będziesz innego zdania.

Doszli do bufetu, wypiła szklankę limoniady, a wracając, nachyliwszy się do ucha, kuzynka mówiła mu:

— Słuchaj, te wasze szkaradne wyścigi widocznie jej się podobały i podziałały na jej wyobraźnię, wiesz, co mi powiedziała? Przed obiadem, kiedy mi na jakieś moje zapytanie odpowiedziała francuskim frazesem, rzekłam jej żartem:

— Coś ci ten Ludwik ze swoją francuszczyzną bardzo w serduszko zajechał.

— O nie — odparła — w moje serce trzeba wskoczyć, ale na dobrym koniu.

A kiedym jej się w oczy popatrzyła, zrobiła minkę seryo, pokraśniała i odwróciła się. Sądzę, że masz szansę.

Prawdzic nic nie odpowiedział, odprowadził panią Laurę na miejsce, porozmawiał chwilę z paniami, i zniknął w przepełnionym salonie, aby flirtować z innemi.

Wpół godziny później, popatrzywszy na zegarek, wyniósł się cichaczem i podążył do Mani.

Nazajutrz dzień był prześliczny, słońce wschodziło, w otwartem dla chłodu porannego oknie mieszkania parterowego stał Prawdzic jak wyszedł był z rautu, tylko z pomiętym trochę przodem koszuli i przekręconą białą krawatą, a na oknie siedziała Mania w lekkim rannym stroju; oparła obie ręce na jego ramionach, a on ją objął wpół. Przegięła się w tył w tem objęciu, a rozpuszczone przepyszne włosy spływały jak snop złoty poza okno na pustą o tej porze ulicę.

Było to pożegnanie.

Kiedy tak rozmawiali, zaturkotał nagle otwarty powóz hotelowy, w którym państwo Porajowie z córką i kuzynkiem odjeżdżali na kolej.

Wiszące na ulicę włosy zwróciły ich uwagę, a nim ci dwoje zdołali się cofnąć od okna, Ludwik, włożywszy szybę w oko, zawołał:

— A tożto wczorajszy bohater wyścigowy pan Prawdzic, a jaka to z nim ładna osoba!

Na tem skończyły się matrymonialne pani Laury projekta dla Prawdzica.

* * *

W parę tygodni później napisała do niego pani Laura, że się pragnie z nim widzieć.

Przyjechał i złajała go okropnie.

— Jakto? Ja ci wyszukuję pannę, jakiej może w Polsce drugiej nie ma, a ty robisz takie skandale!

— Ależ kuzynko! Na raucie u księstwa byłem tak zajęty paniami, żem nie miał czasu myśleć o tem, ażeby coś zjeść; byłem głodny, więc poszedłem tam, gdzie wiedziałem, że na mnie czeka kolacya.

— Nie ma co z tobą mówić — odrzekła grożąc mu palcem — nic z ciebie nie będzie „Vous mourrez dans l'impénitence finale".

K. W...l.

---

*) Powoli.

szumnie batorówkami. Drugi pocieszniejszy falsyfikat wylągł się w gnieździe sokołów lwowskich. Uniform naszych druhów zrobiony jest według modelu uniformu czeskiego, z małemi odmianami. Czesi mają niziutkie sukienne kołpaczki z denkiem okrągłem; nasi, przy równym sukiennym obwodzie kołpaczka, dali denko, jakkolwiek czworogranne, ale skromniutko ukryte w obyczajce. Dla większej tylko zacności nazwano i tę czapeczkę batorówką. Czapka ta nie jest więc ani demonstracyjną. ani polską Jest sokołówką i niczem więcej.

Ciężkie roboty. Z Londynu donoszą: Jak już wiadomo, Oskar Wilde i spólnik jego Taylor skazani zostali na ciężkie roboty. Jestto jedna z najcięższych kar, jakie gdziekolwiek istnieją. Skazanych na ciężkie roboty przenoszą do więzienia w Pontenville w północnym Londynie, kąpią ich tam i ważą, a następnie ubrawszy ich w szaty więzienne, zamykają do olbrzymiego koła, które ma 4 metry średnicy i którego obwód podzielony jest na kilka komórek. Do każdej takiej komórki zamykają jednego skazańca, który, uwiesiwszy się na dwóch umieszczonych na ścianie pierścieniach, wprowadza koło swym ciężarem w ruch. Koło to, obracając się, porusza pewną maszynę. Jeżeli skazaniec koła poruszać nie chce, otrzymuje od dozorcy uderzenia knutem; jeżeli zaczął koło obracać, a później nie chce tego czynić, koło samo zadaje mu tak silny cios, że łatwo może złamać nogę. Gdy skazaniec wcale nic robić nie chce, wówczas karzą go knutem, który składa się z dziewięciu rzemyków, a każdy rzemyk zakończony jest haczykiem, który przy uderzeniu boleśnie rani ciało skazańca. Dłużej, jak trzy godziny dziennie, skazańca w takiem kole zatrzymywać nie można. Praca ta jest — szczególniej dla nowicyusza — tak uciążliwą, że po każdym kwadransie pracy musi się mu pozwolić przynajmniej na pięciominutowy odpoczynek. Oprócz tego muszą skazańcy zużyte już przez marynarzy liny okrętowe rozwijać na kłaki, a więc wykonywać robotę, przy której ręce tak się kaleczą, że stanowią prawie jedną ranę.

Opera krakowska Z Krakowa nam piszą: Z przyjemnością zanotować wypada, że sezon operowy u nas coraz więcej budzi zainteresowania wśród miłośników śpiewu i coraz więcej też ze strony imprezy czeka naszą publiczność niespodzianek Oto przedsiębiorcy pp. Ludwik Heller urzędnik kolei państwowych i Dr. Juliusz Bandrowski, po przyznaniu im z góry subwencyi od rady miasta Krakowa w sumie 2000 złr., przygotowują solistów i chóry, aby w jak najkrótszym czasie sprawić miastu niespodziankę wystawieniem opery „Goplana“ naszego mistrza Żeleńskiego.

Wiadomość tę z entuzyazmem przyjęli miłośnicy muzyki i poczytują za wielką zasługę imprezie, że wywdzięczając się miastu za wspaniale udzieloną subwencyę, podjęła się tej pracy. Nie dziwimy się jednak, gdyż opera nasza rozporządza takiemi siłami wokalnemi, jak: pani **Marya** Pawlików Nowakowska (angażowana na gościnne występy) dalej panie: Hellerówna i Kasprowicz, oraz Strassern, Korolewicz, uczenice szkoły spiewu pana Wysockiego, z panów: Górski, Jeromin, Wierzbicki, Myszuga i Bandrowski. Chóry będą z lwowskich szeregów zformowane, zespiewane przez długie lata z sobą — w liczbie 16 osób. Natomiast wielką znów stratę ponosimy przez to, że panie Abendroth i Lola Beth nie przyjadą wcale, gdyż pierwsza postawiła za wygórowane warunki a druga wyjechała do Paryża.

Sezon rozpocząć miała „Halka“ Moniuszki, tymczasem i tu zawód nas spotyka, gdyż pani Konarska z Warszawy nie przyjeżdża i danym będzie „Straszny dwór“. Wszystkie te braki wyrównają się wyż wspomnianemi siłami i wystawieniem „Goplany“. Jest nadzieja, że reżyserya ręką doświadczonego byłego spiewaka p. Kamińskiego prowadzona, wyjdzie z batalii zwycięzko. Pan Kaminski, jak nas zapewniają, będzie brał czynny udział w operach i ma spiewać Eleazara w Żydówce Halevy'ego.

Napad na konsulów. Z Dżeddah w Arabii donoszą: Kilkunastu Beduinów dokonało tu zamachu na konsulów obcych państw zamieszkałych w naszem mieście. Rzecz miała się jak następuje. Przed czterema dniami konsul i wicekonsul angielscy w towarzystwie konsula rosyjskiego i sekretarza konsulatu francuskiego odbywali zwykłą przechadzkę wieczorną. O pół mili od miasta wyskoczyło nagle, ukrytych za skałą, kilkunastu Beduinów i poczęło strzelać do spacerujących. Wicekonsul angielski padł trupem na miejscu, trzej jego towarzysze są ciężko ranni. Po napadzie Beduini natychmiast się rozpierzchli. Władze miejscowe uwiadomione o tym wypadku, natychmiast przeprowadziły energiczne śledztwo i uwięziły 15 osób, podejrzanych o bezpośredni lub pośredni udział w tym napadzie Napad na konsulów nabiera z tego powodu znaczenia wypadku wielkiej politycznej wagi, że świadczy, iż nie jest bezpodstawną pogłoska. że w świecie muzułmańzkim budzi się pod wpływem propagandy duchownych muzułmańskich straszny fanatyzm religijny i że tłumy muzułmańskie przygotowują rzeź wszystkich chrześcijan mieszkających na obszarze Turcyi i Egiptu. Toteż sądzić wolno, że ten napad na konsulów wywoła wielką akcyę nie tylko dyplomatyczną ale prawdopodobnie i militarną.

Pożary. Przed czterema dniami spaliło się sto domów żydowskich w miasteczku Chołojowie. Na telegraficzne wezwanie przybyła straż z Radziechowa i przeszkodziła dalszemu szerzeniu się pożaru. Z całej dzielnicy Chołojowa pozostały tylko gruzy i popiół.

Zmarli. W Samborze 27 maja Władysław Firlej Bielański, żołnierz z roku 1863, zmarł w 59 roku życia. Walcząc w oddziale Jeziorańskiego, odznaczył się w bitwie pod Kobylanką, gdzie został ciężko ranny. — Jan Łopuszański, asystent kolei państwowej w 32 roku życia i Mateusz Wacek, radny m. Tarnopola w 50 roku życia, umarli w Tarnopolu.

Stan powietrza. T. o 8 rano +11° R. w poł +15 R. Bar. 766. Spada. Prześliczna pogoda.

Między gogami.

— Ty, Finio, gdybyś nie był hrabią, czem chciałbyś być?

Finio po gruntownym namyśle:

— Suflerem w balecie...

Teatr. Dziś we wtorek „Honor“, komedya w 4 aktach Sudermana. We środę nie będzie przedstawienia. We czwartek „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego. W piątek nie będzie przedstawienia.

Literatura i Sztuka.

Teatr. Pisząc sprawozdanie o gościnnych występach p. Marcelego Zboińskiego, przedewszystkiem żałować przychodzi, że artysta tej miary i tego, właśnie, charakteru ról, nie pozostał na lwowskiej scenie, na której talent jego prawie dwadzieścia pięć lat rozwijał się, mężniał i skrystalizował się, tembardziej, że w tym kierunku ról wśród najmłodszej generacyi aktorów nie widać sił, rokujących w przyszłości rzetelny nabytek.

Szereg gościnnych występów rozpoczął dzisiejszy artysta krakowski „Walką motyli“; nastąpiły po tem sztuki: „Jak myślicie“, „Powietrze wielkomiejskie“, „Dwa swiaty“ i nareszcie „Pan Jowialski“. Usunąwszy z umysłu wszelkie porównanie gry p. Zboińskiego z p. Fiszerem w niektórych rolach granych przez obydwóch artystów, jak np Winkelman w „Walce motyli“, omijając tę samę kolizyę z p. Żelazowskim w „Jak myślicie“ w roli Szymczaka, stwierdzamy tylko zasadniczą odrębność talentów tych artystów, każdy z nich bowiem gra inaczej, różniąc się w pojęciu roli i w użyciu środków.

Jak dawniej, gdy p. Zboinski był stałym członkiem sceny lwowskiej, tak i teraz gra jego odznacza się, przedewszystkiem, artystyczną prostotą, naturalnością i całkowitem wcielaniem się w postać, którą ma przedstawiać. Z bardzo obszernego repertuaru, jakim artysta rozporządza, najmniej nas zadawalnia „Pan Jowialski“ dlatego, że tak, jak go gra p. Zboiński, jest za mało jowialnym, a zanadto weredykiem, ale i w tem graniu, jest pewna samodzielność artystyczna, która, jednak, daleko odbiega od przedziwnej interpretacyi Jowialskiego przez śp. Józefa Rychtera i zbliżającej się do niej, dzisiejszej gry Rapackiego.

Z powodu występów p. Zboińskiego, wznowiono starą i zepchniętą już zupełnie ze wszystkich repertuarów sztukę: „Dwa światy“ zmarłego Feuillet'a. Rozpisywać się o tym melodramacie wytwornego francuskiego belletrysty nie mamy potrzeby, — należy on już do historyi literatury dramatycznej, a właściwie do powieściowej, gdyż „Dwa światy“ przerobił autor ze swej powieści na scenę, czem nie przysporzył sobie wcale listka wawrzynu do swej sławy. P. Zboiński wystąpić ma jeszcze dwa razy: w „Honorze“ i w „Ciepłej wdówce“ i na tem zakończy swoje gościnne u nas występy. *Iks Ypsylon.*

P. S. Trzy ostatnie przedstawienia w teatrze letnim, mimo, że w dwóch pierwszych dniach była śliczna pogoda, która z natury rzeczy jest czynnikiem najmniej pożądanym dla frekwencyi teatralnej, były literalnie przepełnione publicznością. W ogóle wszystkie dotychczasowe przedstawienia, odbyte w letnim budynku, pozwalają przypuszczać, że tegoroczny sezon letni wypadnie lepiej, aniżeli wszystkie ubiegłe sezony, razem wzięte. Publiczność nasza tak przywykła już do letniego teatrzyku, że z żalem będzie się musiała w tych dniach przenieść do starego budynku skarbkowskiego, gdzie przez 6 wieczorów z rzędu graną będzie z wielkim nakładem i bardzo starannie przygotowana sztuka „Podróż naokoło ziemi“. Zmianę sali teatralnej (co zresztą było konieczne przez wzgląd na bardzo skomplikowane dekoracje) wynagrodzą liczne w tej sztuce nagromadzone cuda, które osobliwie przez amatorów czarodziejskiej scenery będą przyjęte z zadowoleniem.

* **Kronika teatralna.** Teatr poznański wprowadził tego roku oprócz jednoaktówki J. Kościelskiego aż dwa dramaty ściśle poznańskie, bo na stosunkach tamtejszych oparte i przez poznańskich autorów napisane. O dramacie dra Rabskiego pisaliśmy już, słów parę należy się jeszcze natomiast 5aktowemu dramatowi p. Dyonizego Karchowskiego p. t. „Na schyłku“. Autor wziął podobnoś temat z rzeczywistego zdarzenia, a mimo niektórych usterek i nieprawdopodobieństw w akcyi krytyka poznańska przyznała jego utworowi wiele zalet i twierdzi, że robi silne wrażenie. Rzecz obraca się około najważniejszego zadania narodowego w dzielnicy wielkopolskiej, to jest utrzymania ziemi polskiej w polskich rękach. Mamy więc przedstawiony dom pani Izabeli Błonowskiej, właścicielki dóbr, wraz z całą rodziną i najbliższem otoczeniem. Ponad wszelkiemi zawikłaniami, jakie się wśród tych ludzi nawiązują, tworząc dramat, góruje intryga plenipotenta Marcewicza, który przy pomocy lekkomyślnego syna p. Błonowskiej Artura wyłudza od niej pełnomocnictwo na sprzedaż majątku. Kiedy pod koniec sztuki dowiaduje się Błonowska, co za akt podpisała i że komisya kolonizacyjna ma kupić majątek, umiera wskutek tego wstrząśnienia. Sprawca wszelkich klęsk Artur w rozpaczy na grobie matki usiłuje odebrać sobie życie, ale rani się tylko i będzie żył, aby usilną pracą odkupić swe winy, dzięki bowiem pomocy szwagra umowę o sprzedaż majątku cofnięto.

Ciekawy obraz przedstawiają teatralne stosunki angielskie. Gdyby z liczby nowopowstałych teatrów w Londynie w ciągu ostatnich lat dziesięciu wnioskować o rozwoju sztuki dramatycznej w stolicy Anglii, musielibyśmy utworzyć sobie bardzo przychylne o niej wyobrażenie. W pomienionym okresie czasu nie upłynął rok, w którymby nie otwarto jakiegoś nowego teatru. Obecnie w Londynie istnieje przeszło trzy tuziny scen, nie licząc podrzędnych teatrów przedmiejskich. Na miasto, liczące pięć milionów mieszkańców, byłoby to może niezbyt dużo; lecz należy wziąć pod uwagę, że dopiero w ostatnich czasach zniknęły przesądy, które kazały uważać teatr za przybytek zepsucia i coraz rzadziej się trafia, by uczęszczanie na widowiska za grzech było poczytywane. Pomimo zainteresowania się teatrem, obudzonego w ostatnich dziesiątkach lat, estetyczne wykształcenie publiczności pozostaje wciąż na dość niskim stopniu i stanowi ciemną stronę w rozwoju sztuki scenicznej.

Niezaprzeczony rozwój sztuki dramatycznej przejawia się głównie w tej gałęzi, którą uprawiają we wspaniałych pałacach t. zw. „Musik Halls“, rodzaju teatrów rozmaitości, w których wolno palić, a nawet raczyć się napitkami. Oprócz nich jednak i inne, prawowitej sztuce poświęcone sceny prosperują coraz pomyślniej.

Prawie wszystkie teatry londyńskie zowią się „royal“. Jestto tylko pusty tytuł, bo w Anglii nie ma teatrów „królewskich“ w naszem znaczeniu tego słowa. Ani królowa, ani stolica, jak zresztą i żadne miasto angielskie, nie czynią nic dla podniesienia teatru, który tu bywa zwykłą handlową spekulacyą lub środkiem dla ubogich artystów zdobycia sobie uznania, albo wreszcie — i to częściej — okazyą do bankructwa.

I tak naprzykład jakiś artysta, wybitny istotnie lub też tylko w swojem własnem mniemaniu, wynajmuje teatr, wybiera sztukę i do niej wyłącznie angażuje personal na tak długo, dopóki sztuka co wieczór będzie grana. Może to trwać całe miesiące, albo tylko kilka dni, poczem artyści znów zmuszeni są szukać chleba. Taki improwizowany przedsiębiorca bywa zwykle w swoim teatrze dyrektorem, reżyserem, pierwszym bohaterem lub kochankiem, a nierzadko i autorem sztuk, zaś w ostatnim razie — ponieważ to i owo poprawił w egzemplarzu, albo jakąś rolę skrócił — każe się drukować na afiszu jako „współautor“.

Nie trzeba chyba dodawać, że większość tych samozwańczych artystów, reżyserów i autorów w jednej dobie znika szybko z horyzontu; trafiają się jednak i geniusze uniwersalne, które umieją dłuższy czas egzystować, a nawet niekiedy dochodzą do majątku.

Między nimi jednak od czasu do czasu napotkać można ludzi istotnie dzielnych i wysoce zasłużonych. W rzędzie tych ostatnich na pierwszem miejscu wymienić należy mr. Henryka Irwinga, tak ciągle tytułowanego przez publiczność, chociaż od dawna należy mu się tytuł „sir“, gdyż ten artysta podniesiony został do stanu szlacheckiego. Irwing jest właścicielem teatru Liceum i obecnie ma lat 57. Jestto istotnie postać niezwykła, ale nie w znaczeniu scenicznem. Chód ma ciężki i niezgrabny, ruchy niezręczne, nogi i ręce przypominają kołki drewniane, do tego dodajmy niesympatyczny organ głosu i niewyraźną wymowę. Mimo tych braków jest on w stanie porwać masy genialnością swych kreacyi, tak, jak to niewielu potrafi, o ile ogranicza się do ról odpowiadających jego indywidualności. Jego Mabrolio, Shylok, jego Behet w dramacie lorda Tennysona pod tym samym tytułem są bezsprzecznie arcydziełami sztuki aktorskiej. Lecz artysta niedawno jeszcze usiłował grywać Romea, rolę, którą obecnie już przerósł, a do której poprzednio nigdy nie dorastał. Obecnie grywa co wieczór w swem opracowaniu legendę „King Arthur“ pióra Comynsa Cavosa, do której sir Arthur Sullivan napisał muzykę, a sir Edward Burne Jones naszkicował scenaryusz. Sztuka ta, o której już wspominaliśmy, wystawiona z niesłychanie wielkim nakładem i dzięki zapewne tym względom oraz doskonałej grze, zdobyła sobie powodzenie.

Irwing duże położył także zasługi, jako kierownik sceny. On to we własnej ojczyźnie Szekspira podniósł urok jego utworów, a pod względem wystawy sprawił, iż scena angielska przewyższa dziś wiele innych. Chociaż teatr Liceum pod kierunkiem Irwinga zrobił olbrzymie postępy, nie pozbył się jednak wady, wpływającej bardzo ujemnie na rozwój młodych talentów, a narzuconej względami finansowymi. Oto w nieprzerwanym szeregu przedstawień bywa grana jedna i ta sama sztuka całymi miesiącami a czasem i latami. Personal w takich warunkach ogranicza się, a na wystawę łoży się duże sumy. Publiczność jednak najmniej odczuwa tę wadę, gdyż Londyn posiada tak dużo teatrów, iż widz jest w stanie tak często, jak chce, zmieniać sobie widowiska.

Pierwsze miejsce po Liceum należy się teatrom „Haymarket“ i „St. James“, których repertuary zapełniają przeważnie utwory współczesne. Bohaterki tych sztuk, po większej części kobiety upadłe, nie dostają suchot, jak we Francyi, lecz rehabilitują się, powracają do cnoty i do stanowiska w świecie.

W teatrze „Globe“ od dwóch lat co wieczór bez przerwy grają „Ciotkę Karola“. Takie same głupstwo, ale znakomite „The New Boy“ z równem powodzeniem wystawia „Vaudeville“. Do liczby teatrów, zasługujących na wyróżnienie, należy „Garrick“ pod kierunkiem Haresa i „Cryterion“, prowadzony przez Wyndhama. Na tych scenach właściciele są zarazem dyrektorami i pierwszymi aktorami. Systemu tego jeszcze jawniej trzymają się teatry Terry'ego“ i „Tolle'go“, którym właściciele dla reklamy nadali własne nazwiska. Terry i Telly są wybitnymi komikami, naturalnie uprawiającymi komizm płaski; jest to jedyny rodzaj sztuki scenicznej, stojący wyżej niż na lądzie stałym. Można powiedzieć, iż obaj ci artyści są najlepszymi klownami w swej ojczyźnie.

Angielska publiczność lubi silne wrażenia, choć pod tym względem jest niewybredna. Schlebiając tym gustom, wystawiają teatry angielskie melodramaty. Są to jaskrawe sztuki spektaklowe, przepełnione dymem prochu, rozbiciami okrętów, eksplozyami, przedstawiające nam stereotypowo złe strony natury ludzkiej, w których jednak i pewną dozę cnoty wmięszano gwoli zadowolnienia widzów. Cnota też zwykle w końcu zwycięża. Melodramat uprawia głównie „Drury „Lane“, który przez zimę wystawia zazwyczaj pantominy.

W Monachium rozpoczęły się niedawno przedstawienia tak zwanego „Teatru współczesnych, („Theater der Modernen“). Dyrektorem tego przybytku radykalizmu w sztuce dramatycznej jest inteligentny młody, ale jeszcze nie przetrawiony artysta p. Emil Messthaler. Ma być on synem bogatych rodziców zawodu kupieckiego i sztuce aktorskiej poświęcił się z zamiłowania. Po kilku latach pracy na scenie, zebrał trupę z aktorów troskliwie dobranych i rozpoczął objeżdżać miasta niemieckie i dawać wszędzie przedstawienia z dzieł jak najbardziej radykalnych.

Repertuar tego niemieckiego Antoine'a (wiadomo bowiem, że założyciel „Teatru wolnego“ w Paryżu nazywa się Antoine) składa się z sztuk Ibsena Hauptmanna, Wildenbrucha („Dzierlatka“) i Halbego.

Ibsen nie podobał się monachijczykom, Hauptmann i Wildenbruch także nie zdobyli uznania, dopiero Maks Halbe, najmłodszy z ibsenistów, trochę zaiteresował, a to głównie dla tego, że wprowadził do sztuki element międzynarodowy. Dramat jego nazywa się „Młodość“, a osią, około której akcya się obraca, jest miłość młodej dziewczyny, „siostrzenicy“ do swego „wuja“, księdza proboszcza. Ksiądz proboszcz pomimo, że nosi nazwisko zakończone na „ski“, jest jednak Niemcem, i ma „poczciwą niemiecką duszę.“ Po długich „doświadczeniach życiowych“, których owocem była właśnie owa jego „siostrzenica“, „stał się niezmiernie pobłażliwym na wszystkie wybuchy krwi młodej w dorastającem pokoleniu. Siostrzenicy więc swojej pozwala całować się, ile chce, ze studentem, synem swojej przyjaciółki (miał bowiem wszechstronne doświadczenie). Byłoby więc wszystko dobrze w tem poczciwem niemieckiem gniazdku, które uwili sobie na ziemi poznańskiej, gdyby nie podstępna dusza, — Polak i fanatyk, ksiądz katolicki, który żywił wstrętne dla Niemców przekonanie, że młoda panna powinna, pamiętając o grzechu swej matki, nieco być powściągliwszą w objawach swej miłości, no i nawet poświęcić się Bogu i wstąpić do klasztoru. Ale naturalnie panna, której student zawrócił zupełnie głowę, nietylko że nie szczędzi mu całusów, ale *nota bene* robi sama wycieczkę na całą noc do swojego ukochanego, jakkolwiek według autora jest naiwnym podlotkiem.

Na nieszczęście, jej schadzkę dopatrzył brat idyota, Amandus, a ponieważ ma do obojga kochanków urazę za to, że pozbawiają go łakotek, przeto, mszcząc się, opowiada to młodemu księdzu.

Naturalnie ten ostatni opowiedział wszystko staremu, ale kiedy dołączył do tego kilka wyrzutów, doświadczony starzec zmyślał go jeszcze porządnie i kazał mu się wynosić z posady wikarego.

Młody student musiał wysłuchać *verba veritatis*, któremi się jednak mniej zmartwił, niż tem, że będzie musiał ożenić się, nie poznawszy wpierw świata; „panna Anuszka“, wypłakawszy się, zgodziła się też ze swoim losem i cała trudność skoncentrowała się jedynie w tem, że młody dwudziestoletni student nie ma... żadnej posady. Ważną tę przeszkodę usunął jednak idyota Amandus, brat Anuszki: bo chcąc zastrzelić kogoś, co mu zjadał pierniki, zastrzelił... siostrę.

Anuszka dostaje rozgrzeszenie od wuja, ściska jeszcze raz kochanka i umiera.

Dla charakterystyki zaś autora i jego tendencyi dodać trzeba, że ów ksiądz Polak i fanatyk katolicki wie już w pierwszym akcie o zamiarach Amandusa, widzi go, jak ze strzelbą się uwija i miasto przeszkodzić zamysłom idyoty, przez cały drugi akt prowokuje tylko nieszczęście. Naturalnie niedarmo też „stara niemiecka dusza“ zwymyślała go od „Popolsky“ („Schimpfworth“ niemiecki na Polaków).

Zbyteczna może dodawać, że p. Maks Halbe jest Prusakiem i protestantem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 czerwca.

(Z.) Tydzień ubiegły zakończyła giełda bardzo pomyślnie. Ani rozwiązanie wiedeńskiej rady miejskiej, ani pojawiające się znów pogłoski o ukrytem przesileniu w łonie gabinetu austryackiego nie zamąciły tendencyi targu i zwyżka, podniecana wybornem usposobieniem giełdy berlińskiej, toruje sobie coraz bardziej drogę. Na pierwszym planie są uniony. W ciągu dwóch dni ostatnich dosięgły one kursu 342. Bank ten bowiem zdaje się będzie miał obecnie prawdziwie szczęśliwy peryod. Objął on już do emisyi od rządu węgierskiego pożyczkę złotą na regulacyę Bramy Żelaznej w sumie 45 milionów koron, a powołany przezeń do życia węgierski bank agrarny już się ukonstytuował i otrzyma od rządu wszelkie możliwe ulgi co do emisyi obligacyi na cele przeważnie rolnicze, jak regulacyę rzek, naprawę winnic, rozszerzenie komunikacyi i t. p. Kapitał akcyjny tego banku wynosi 12 milionów złotych. Oprócz unionów, cieszyły się także znacznym popytem kredyty, bankvereiny i walory przemysłowe i górnicze.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 404·—, węgierskie 476·75, Anglobanki 172·75, Uniony 341·75, Bankvereiny 167·25, Länderbanki 283·30, Ludwiki 222·20, Czerniowieckie 325·—, Elbethale 291·75, Renta papierowa 101·40, srebrna 101·35, austryacka złota 123·10, 4% austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 123·40, 4% węgierska renta wal. kor. 99·10, dukat 5·69—, 20-frankówka 9·64, marki 11·87, ruble 1·30¼.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 4 czerwca. Dziś ogłoszono projekt reformy wyborczej. Składa się on z dwóch projektów ustaw: jeden dotyczy zmiany ustaw zasadniczych co do reprezentacyi w Radzie państwa, a drugi zmienia ordynacyę wyborczą do Rady państwa.

Do projektów tych dołączono uwagi objaśniające, z których okazuje się, że w subkomitecie uzyskano porozumienie co do następujących zasadniczych punktów: 1) że robotnikom należy dać prawo wyborcze, 2) że należy przyznać to prawo także tym kontrybuentom, którzy opłacają małe kwoty podatkowe, a nie mają dotychczas tego prawa, 3) że każda z tych dwóch nowych grup wyborczych ma wykonywać swe prawo wyborcze samodzielnie, gdyby one bowiem głosowały wspólnie, w takim razie żywioł robotniczy nie miałby pełnego znaczenia. Elaborat subkomitetu ma wyraźny charakter kompromisowy i usiłuje zaspokoić sprzeczne interesy stronnictw koalicyjnych.

Projekt reformy wyborczej stwarza dwie nowe grupy wyborcze, a mianowicie: grupę najniżej opodatkowanych zarówno w miastach, jak i po wsiach, tudzież grupę robotników. Pierwsza z tych grup, t. j. grupa najniżej opodatkowanych, będzie ukonstytuowana jako oddział poboczny istniejących obecnie kuryi miast i gmin wiejskich, zaś grupa robotnicza stanowić będzie samoistną piątą kuryę wyborczą. Liczba posłów do Rady państwa powiększoną zostanie z 353 na 400, a zatem o 47 nowych mandatów. Z tych 47 mandatów dostanie się 34 wszystkim, którzy opłacają jakikolwiek podatek bezpośredni mniejszy niż 5 zł. a większy niż 1 zł. rocznie, a 13 mandatów dostanie się robotnikom.

Owych 34 mandatów najniżej opodatkowanych rozdziela się między poszczególne kraje w sposób następujący: na Galicyę przypada 2 mandaty na miasta, a 6 na gminy wiejskie; na Czechy 2 na miasta, a 5 na gminy wiejskie, na Morawię 1 na miasta, 2 na gminy wiejskie, na Austryę dolną, 1 na miasta, 1 na gminy wiejskie, inne prowincye dostaną po jednym mandacie na oba oddziały.

Przy ustanowieniu liczby nowych mandatów decydującym był wzgląd na to, ażeby system reprezentacyi interesów zachowany był nietylko w zewnętrznej formie, ale w istocie. i ażeby zachowane zostało polityczne znaczenie tych warstw ludności, które mają obecnie prawo wyborcze. Nowych wyborców w tym oddziale istniejących kuryi miejskich i wiejskich będzie 1,202.844, a mandaty rozdzielono w ten sposób, że mniej więcej 35.000 wyborców wybierać będzie jednego posła. W tym oddziale odbywać się będą wybory z miast bezpośrednio, a z gmin wiejskich pośrednio.

Do nowej kuryi robotniczej należeć będą wszyscy robotnicy przemysłowi, rękodzielnicy i górnicy, którzy przynajmniej od dwóch lat należą do kasy chorych i w chwili rozpisania wyborów zatrudnieni są w jednem z przedsiębiorstw obowiązanych do ubezpieczania swych robotników.

Ci robotnicy, którzy należą do kasy chorych, ale zarazem opłacają jakikolwiek podatek bezpośredni więcej niż 1 zł. rocznie, nie będą głosowali w kuryi robotniczej, lecz w owym pobocznym oddziale kuryi miast lub gmin wiejskich, w którym głosują inni kontrybuenci opłacający małe podatki.

Kurya piąta wybiera 13 posłów, a z tych przypadnie: na Czechy 4, na Galicyę i Bukowinę (razem) 1, na Austryę niższą 3, na Dalmacyę Krainę, Istryę, Gorycyę, Tryest (razem wzięte) 1, na Austryę wyższą Salcburg, Tyrol i Vorarlberg (razem) 1, na Morawię 1, na Szląsk 1.

Po jak najskrupulatniejszem obliczeniu okazało się, że jest około 600.000 członków kas chorych, kwalifikujących się do prawa wyborczego w tej kuryi, a mandaty z tej kuryi rozdzielono między poszczególne prowincye wedle tego, ile znajduje się w niej robotników należących do kas chorych. Wybory w kuryi robotniczej odbywać się będą pośrednio.

Rzym 4 czerwca. Przy wczorajszych 54 uzupełniających wyborach do parlamentu wyszło z urny 29 kandydatów ministeryalnych, 13 zwolenników konstytucyjnej opozycyi, 9 radykałów i 3 socyalistów. Definitywny skład parlamentu jest zatem mniej więcej następujący: 336 zwolenników rządu, a 155 opozycyonistów.

Madryt 4 czerwca. Pewien porucznik cierpiący na manię prześladowczą, postrzelił wczoraj jeneralnego kapitana Madrytu za to, że odmówił mu ręki swej córki. Kula przeszła na wylot. Stan zranionego kapitana jeneralnego jest bardzo groźny. Sprawcę zamachu uwięziono.

Peszt 4 czerwca. Policya rozwiązała wczoraj zgromadzenie robotnicze, w którem brało udział około 500 osób. Robotnicy ruszyli następnie z tego zgromadzenia ulicami, wyprawiali awantury i wybijali szyby. Policya rozpędziła ekscedentów i aresztowała sześciu najoporniejszych.

Londyn 4 czerwca. Eskadra angielska składająca się z 17 okrętów przybyła wczoraj do Bejrutu w Azyi Mniejszej.

Nowy-Sad 4 czerwca. Czterdziestu pięciu robotników przeprawiało się wczoraj koło Bevesinu przez Dunaj. Na środku rzeki przewróciła się łódź i wszyscy robotnicy wpadli w wodę. Dwunastu utonęło, resztę uratowano.

Konstantynopol 4 czerwca. Rada ministrów postanowiła odrzucić propozycye mocarstw w kwestyi ormiańskiej. Obiegają tu pogłoski, że w ministeryum zajdą ważne zmiany, że mianowicie ustąpi wielki wezyr Dżewad basza, a na jego miejsce przyjdzie Kiamil basza. Sfery dyplomatyczne nie wierzą jednak w to, ażeby ta zmiana poprawiła sytuacyę, która jest na prawdę poważna.

Grac 4 czerwca. Cesarz przybył tu dziś o godzinie 7 rano. Całe miasto przystrojono wspaniale. Na dworcu oczekiwali przybycia Najjaśniejszego Pana książę biskup z Seckau, namiestnik br. Kübeck, tudzież wszyscy naczelnicy władz, marszałek krajowy hr. Attems, rektorowie uniwersytetu i politechniki i wielu innych dostojników. Burmistrz dr. Portugall powitał Cesarza przemową, w której imieniem całej ludności złożył hołd Monarsze i dziękował za uszczęśliwienie miasta temi odwiedzinami. Cesarz odpowiedział na tę przemowę bardzo łaskawie, poczem odświętnie przystrojonemi ulicami udał się do swej rezydencyi, gdzie na podwórzu zebrała się jeneralicya i grono oficerskie, tudzież dwie kompanie honorowe, jedna pułku piechoty z garnizonu tutejszego, a druga gwardyjskiego korpusu obywatelskiego. O godzinie 9 odbyły się przedstawienia duchowieństwa, władz, reprezentantów rozmaitych instytucyi i deputacyi z całego kraju.

Madryt 4 czerwca. Kortezy uchwaliły naganę rządowi. Zwolennicy rządu nie brali udziału w tem głosowaniu, a ministrowie wyszli z sali obrad przed głosowaniem. Pomimo tej uchwały gabinet nie poda się do dymisyi. Sytuacya jest bardzo trudna, gdyż republikanie starają się wyzyskać zamęt panujący w łonie gabinetu.

Madryt 4 czerwca. Jeneralny kapitan Madrytu jenerał Rivera jest umierający.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 3 czerwca Th. książę Sopran z Rosyi. E. br. Alexander z Paryża A. br. Jorkasch z Wiednia. J. Nagler z Wiednia. A. Schön z Wiednia. J. Elbert z Odessy. J. Nowiński z Zaleszczyk. J. Dobija z Krakowa L. Rogoyski z Królestwa Polskiego. K. Wiśniewski z Dobrzan. R. Langer z Berlina. A. Calloman z Drezna.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 czerwca. J. Sadowska z Krakowa. O. hr. Potocki z Maryampola. K. Babecki z Bratkowic. K. Dorożyński z Ukrainy. T. Dujanowicz z Tarnopola. F. hr. Thun-Hohenstein z Czerniowiec. O. hr. Ludolf z Żółkwi. Dr. M. Schilcher z Unterweissenbach.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 4 czerwca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·— do 224·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 326.— do 329·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 438.— do 448.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·50 101·20, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 101·20 do 101.90, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·60 do 99·30 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 98·— do 98·70.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·30 do 99·— Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do 102.50 Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.10 do 102·80 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —·—, 4 pół proc. 100.70 do 101.40, 4 proc. z r. 1891 98.30 do 99·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·60 do 99.30.

Monety. Dukat cesarski 5·69 do 5.79, Napoleondor 9.62 do 9.72, Półimperyał 10.— do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30 do 1.31, 100 marek niemieckich 59.20 do 59·70.

Wiedeń 4 czerwca (godz. 11 w południe) Kredyty 405.35, kred. węg. —.—, Anglobanki 173.90, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 283.90, Akcye tytoń. 236.50, Staatsbahny 432.—, Lomb. (z kup.) 109.—, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59·42 Losy tureckie —·—.

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.